

Informator krajoznawczy

Nr 2/29 (luty) 2012



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza



Wprowadzenie

Większość relacji zamieszczonych w lutowym numerze IK przedstawia imprezy, dla których impulsem do ich zorganizowania była zima. Wszystko zaczęło się od widoku skutego lodem wodospadu Szklarka. Uczestnicy pierwszej tegorocznej wycieczki Rajdu na Raty wędrowali w trakcie bardzo obfitych opadów śniegu. Zdobywcy Skopca, dla odmiany, patrzyli jak leżący śnieg zamieniał się w rwące potoki wody. Nawet spotkanie z Krzysztofem Wielickim, przynajmniej częściowo, dotyczyło zimowych wejść na najwyższe szczyty Ziemi. Dlatego, by nie było tak zimno, pozwoliłem sobie zamieścić tekst o kar-konoskich chatkach turystycznych oraz kolejną część z cyklu „Zjawy i strachy polskie”. Mam nadzieję, że będzie to miła lektura. Zapraszam zatem do zapoznania się z bieżącym numerem Informatora.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

Str. 1 Wprowadzenie

Str. 2 Turystyka narciarska

Str. 3 Wodospad Szklarka w zimowej szacie

Str. 5 Spotkanie z Krzysztofem Wielickim

Str. 7 Na raketach śnieżnych tropiąc Karkonosza

Str. 8 Otwarcie sezonu turystycznego 2012

Str. 9 Zimowe wejście na Skopiec

Str. 10 Fenomen chatek turystycznych na przykładzie Smogorniaka i AKT w Karkonoszach

Str. 13 Strzygonie i upiory

Turystyka narciarska

Jak widać za oknami przyszła zima, prawdziwa zima. Jak okiem spojrzeć wszędzie bielusieńko. Śniegu nasypało tyle, że aż miło patrzeć. Warunki takie utrudniają turystykę pieszą, ale są zachętą dla turystów narciarzy. Bo czyż nie jest przyjemnie sunąć na nartach po rozległych terenach Pogórza Izerskiego czy Kaczawskiego. Wiem, zaraz odezwą się głosy, że nie ma tam zbyt dużo tras. Że tereny te nie są przystosowane dla potrzeb narciarstwa. Ale czyż to jest największym zmartwieniem prawdziwego turysty narciarza. Otóż nie. Dla niego najważniejszy jest biały puch pokrywający wszystko. A to czy są tam profesjonalnie przygotowane trasy nie ma żadnego znaczenia. Liczy się przecież wolność. Liczy się przestrzeń. I to, że poza grupką, jaką uda nam się zebrać nikt nam nie będzie przeszkadzał. Nie będzie tłoku, nie będzie gwaru. Tylko cisza i przyroda. Tylko my i bezmiar białej przestrzeni. I to jest właśnie to, o czym marzy każdy miłośnik turystycznego wędrowania na nartach. Bo, podkreślam to, wędrowanie o jakim mówię, jest zupełnie czymś innym niż typowe szusowanie po stoku czy na specjalnych trasach biegowych. Tam uwypukla się bardziej strona sportowa, wyczynowa narciarstwa. A tutaj doznaniowo-uczuciowa. Nic sobie nie narzucamy na siłę, panuje zupełny luz. Cieszymy się z widoków. Jesteśmy zadowoleni, gdy na trasie spotkamy jakieś zwierzątko. Gdy zrobimy sobie postój by popatrzeć na horyzont. Spojrzeć na przykryte śniegiem góry. To jest prawdziwa radość życia. Przyjemnie jest nam patrzeć jak bawią się podczas takich wypraw dzieci. Wszyscy są uśmiechnięci i zadowoleni. Nie ma tu złości ani poganiania. Jedynym problemem jest tylko ograniczony czas, jaki możemy przeznaczyć na taką wyprawę. Czasami by mieć jakiś dodatkowy cel w takim wędrowaniu podejmujemy próbę zdobywania odznak turystycznych. W tym wypadku narciarskich. Odznaki takie mają bardzo długą historię. Pierwsze stworzono jeszcze w okresie międzywojennym. Na dzień dzisiejszy mamy odznaki narciarskie dla dzieci, młodzieży i osób dorosłych. Te pierwsze zdobywa się w ciągu jednego sezonu i szczęśliwymi ich zdobywcami mogą być maluchy już od 5 roku życia. Odznaki dla dorosłych nie są już takie łatwe do zdobycia. Podzielono je na kilka stopni, które zdobywa się w odpowiedniej kolejności. Trzeba wtedy zaliczyć odpowiednią ilość punktów dla każdego ze stopni. Dzięki temu narciarze mają jakiś cel. Aby go osiągnąć mają jasno wytyczone zasady, które są tak skonstruowane by nie powodować niepotrzebnej rywalizacji i narażania zdrowia i życia. Zdobywanie odznaki ma być czystą przyjemnością. Mamy być z tego zadowoleni, tak by móc z dumą pokazywać znajomym kolejne, jakie właśnie zdobyliśmy.

Oczywiście im wyższy stopień odznak zdobywamy musimy włożyć w to coraz więcej wysiłku. Odznaki narciarskie możemy zdobywać na nizinach jak i w górach. Gdy zdobędziemy najwyższe stop-

nie w danych kategoriach mamy jeszcze możliwość zdobywania odznak "za wytrwałość". Polega to na powtarzaniu jednego z poprzednich stopni, co sezon. Po uzyskaniu pięciu norm otrzymujemy stosowną odznakę. Muszę powiedzieć, że mało kto może poszczycić się taką odznaką, bowiem jej osiągnięcie wymaga wieloletnich wypraw. Ale dzięki temu ich posiadacze nie dość, że mają dobrą kondycję fizyczną, to przez wiele lat cieszą się przebywaniem na łonie natury w zimowej scenerii do tego w miłym towarzystwie.

Nie będę się tu rozpisywał o szczegółach regulaminów poszczególnych odznak. Wszystkie konkrety można przeczytać w specjalnym kieszonkowym opracowaniu, które tak jak książeczki wycieczek narciarskich oraz same odznaki można nabywać w oddziałach PTTK w całym kraju. Zatem zapraszam na trasy.

Wodospad Szklarka w zimowej szacie

Karkonosze są tak pięknymi górami, że przyciągają rzesze turystów, którzy chcą zobaczyć ich najciekawsze zakątki. A do takich należy wodospad na Szklarce. Jest on jednym z symboli Karkonoszy. Nie dziwi zatem, że osób tu przybywających jest coraz więcej. I co ciekawe, przybywający tutaj w okresie zimowym, są oczarowani tym, co widzą. Bo przyroda ma to do siebie, że stale się zmienia. A największe zmiany zachodzą właśnie zimą. W tym roku mrozy, jakie zapanowały skuty wodę spływającą Szklarką i całkowicie zmieniły jej widok. To, co widzimy obecnie jest zupełnie inne od widoku do jakiego przywykliśmy. Skuty lodem wąwóz, gdyby nie małe prześwity w miejscach, w których nurt wody jest najsilniejszy, w ogóle nie przywodziłby nam na myśl, iż pod tym lodem płynie woda. Ale ona wciąż płynie. Przy platformie widokowej możemy zobaczyć w małym oczku jak czysta jest to woda. Wydaje nam się, iż sięgnęlibyśmy dna. Nic bardziej złudnego. Ze względu na mniejszy niż zwykle ruch turystyczny panuje tutaj spokój i cisza. Można zatem zadumać się nad oglądanym widokiem. Można odetchnąć świeżym powietrzem. A gdy zmarzniemy można zajrzeć do schroniska Kochanówka, by napić się czegoś ciepłego.



Wodospad Szklarka zimą

Myślę, że gdy tak zapatrzymy się na zimową szatę przy wodospadzie dotrze do nas z jak wielkimi żywiołami mamy do czynienia. Dotrze do nas, że w tym wszystkim jedyną stałą rzeczą to właśnie wodospad, to woda nim spływająca, zupełnie tak jak płynący nieustannie czas. Ale byłibyśmy w wiel-

kim błędzie, bo przy wodospadzie jest jeszcze jedna stałość. To dyżurujący tu razem ze swoim bernardynem fotograf. Od niepamiętnych czasów robi wspaniałe fotki wszystkim, którzy tego chcą. I nawet warunki zimowe nie zniechęcają go by przyszedł do pracy. Tym bardziej warto zagłębiać w ten uroczy zakątek Karkonoszy. Będziemy nim zauroczeni.

Spotkanie z Krzysztofem Wielickim

W piątkowy wieczór, 24 lutego 2012 roku, w Chacie Izerskiej w Szklarskiej Porębie Dolnej odbyło się spotkanie z Krzysztofem Wielickim, piątym w historii zdobywcą Korony Himalajów i Karakorum. Spotkanie zatytułowano: Być wojownikiem. Nieco dziwnie, bo nawet nasz mówca nie do końca utożsamia się z takim określeniem. Bo jak powiedział nam, będąc w górach, człowiek nie walczy z górą. Walczy tylko sam ze sobą, a właściwie ze swoimi słabościami. I to jest prawda. Pan Krzysztof pokazał sporo zdjęć ze swojego bogatego życia związanego z górami. Bez nich młodsza część widowni pewnie nie do końca zrozumiałaby niuanse tamtych czasów. Bo dzisiaj, zgodnie z tym, co widzimy w przekazach telewizyjnych, wspinacze wybierający się w Himalaje mają ekstra sprzęt, piękne ubrania i wykorzystują najnowsze zdobywcze techniki, zwłaszcza w dziedzinie porozumiewania się. Niestety dawniej tak nie było. A trzeba wiedzieć, że najpiękniejszy okres w zdobywaniu najwyższych gór, jeśli chodzi o naszych rodaków, przypadła na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte ubiegłego wieku. To wtedy pojawili się zapaleńcy chcący realizować swoje marzenia związane ze wspinaczką na ośmiotysięczniki. A ponieważ w tamtych czasach nikogo nie było stać na takie wyprawy, ludzie których marzeniem był wyjazd w Himalaje zaczęli organizować spółdzielnie pracy i oferowali swoje usługi przy pracach na wysokościach. To właśnie w ten sposób zdobywali fundusze potrzebne na realizację swoich pasji. Malowali kominy, chłodnie, wykonywali różne niebezpieczne zadania. Ale dzięki temu mogli wyruszać na zdobywanie "prawdziwych" gór. Gdy spojrzymy na pokazywane zdjęcia jakże ich wyposażenie różniło się od tego, którym dysponowały ekipy z innych krajów. Wiele rzeczy robionych było metodą domową. Królowały wówczas flanelowe koszule w kratkę i kurtki ortalionowe. Ale Pan Krzysztof nie wstydzi się tego. My, którzy w tym samym okresie zaczynaliśmy chodzić w góry czyniliśmy podobnie i jest to dla nas miłe wspomnienie. Każdy próbował zdobyć sprzęt, którego nie było w sklepie. Poza tym, co dzisiaj może wydawać się dziwne, w tamtych czasach także trzeba było liczyć się z groszem. Dlatego wspomnienia Krzysztofa Wielickiego, który podchodzi do tamtych czasów nieco humorystycznie, są bardzo mile przyjmowane. Są one przede wszystkim szczerze i pozbawione taniej sensacji.

Dzięki pojawieniu się takich pasjonatów jak Jerzy Kukuczka, Wanda Rutkiewicz, Krzysztof Wielicki, Andrzej Zawada, Leszek Cichy (nie będę wymieniał więcej, bo zabrakłoby miejsca) zauważono taki kraj jak Polska. Wkrótce Polacy byli zaliczani do najlepszych himalaistów. Wiele ich wejść pokazywano jako przykładowe. Mało tego, ze względu na ich umiejętności zaczęto zapraszać ich do udziału w coraz liczniejszych wyprawach zagranicznych. Stawiano ich za wzór. Niejednokrotnie bowiem Polacy zdobywali szczyty do tej pory niedostępne. W pewnym momencie Polacy, którzy jako pierwsi dostali zezwolenie na wspinaczkę zimową, zaczęli zdobywać najwyższe szczyty ziemi w okresie do tej pory uważanym za martwy. Nikt bowiem nie miał odwagi by próbować wspinaczki w takich niesprzyjających warunkach. Może właśnie z tego względu Polacy dokonali pierwszych wejść zimowych na osiem szczytów. Przy dziewiątym nie udało im się. Ale dzięki temu wspinacze innych narodowości zauważyli swoje szanse na włączenie się do gry. Dzięki zdobyciu dziewiątego szczytu przez nie Polaka świat dowiedział się, że istnieje wspinaczka zimowa. I nagle zaczęto organizować wyprawy zimowe. Wszyscy zobaczyli, że w zimę też można zdobywać góry, a że osiem pierwszych wejść mają na swoim koncie Polacy uznano, iż trzeba się spieszyć, bo jak tak dalej pójdzie to nie będzie, co zdobywać. Oczywiście Polacy nie powiedzieli ostatniego słowa i wciąż walczą.

Najważniejsze według Pana Krzysztofa w tamtych czasach było to, że jako pierwszy na dany szczyt wejdzie Polak. Nie ważne było kto nim będzie. Nie było rywalizacji pomiędzy wspinaczami. Chociaż starano się by jak najwięcej uczestników wyprawy "zaliczyło" szczyt. Wiadomo po to się jechało. Jednak patrząc na dzisiejsze wyprawy, często czysto komercyjne, widać że ich uczestników nie

wiąże żadna nić, żadne porozumienie. Każdy patrzy tylko na siebie, tylko on się liczy. A tak w górach nie powinno być. Bo przecież w górach najważniejszym jest zaufanie do partnera. Gdyby go nie było praktycznie każda wyprawa kończyłaby się tragicznie. Pan Krzysztof przytoczył nam przykłady jak tylko szybka decyzja może uratować życie współtowarzyszowi, ale i samemu sobie. Nie można w takiej chwili zawahać się. Trzeba czasami bez zastanowienia skoczyć w przepaść chcąc ratować kolegę na drugim końcu liny. Trzeba wówczas mieć bezgraniczne zaufanie do tego kolegi, tak jak i on ma je do nas. Takie coś bowiem musi działać w obie strony.



Krzysztof Wielicki

Krzysztof Wielicki opowiadał jak ciężko jest, gdy po długich próbach wejścia na szczyt nie możemy tego uczynić. Najważniejszym wtedy, by nie wpaść w depresję, jest walka. Trzeba walczyć ze wszystkich sił. Trzeba walczyć z niepogodą, z przeciwnościami, ale przede wszystkim trzeba walczyć z samym sobą. Walczyć z ogarniającą nas bezradnością, zmęczeniem i obojętnością. Niestety w takim położeniu wszystko wydaje nam się niemożliwe. I właśnie koniecznym jest walczenie z tą niemożliwością tak by się podbudować. Gdy tego dokonamy to zwyciężymy. A do tego przecież trzeba jeszcze starać się podtrzymywać na duchu naszych słabszych psychicznie współtowarzyszy. Najgorsze było wtedy kiedy ktoś nie wrócił z góry. Odczuwało się to szczególnie, gdy spotykało to naszego partnera. Bo inaczej odbiera się informację o śmierci koleżanki czy kolegi, gdy siedzi się w domu a inaczej, gdy jest się tam na miejscu i wie się, że nie miało się możliwości zapobiec temu nieszczęściu. Inaczej też odbiera się śmierć znajomego a inaczej jego zaginięcie podczas wyprawy. Zdarzały się bowiem wypadki zaginięć. Nie wiadomo wtedy było czy uda się ich odnaleźć. Najgorsza w takiej sytuacji była konieczność podjęcia decyzji o zaniechaniu dalszej akcji ratunkowej. Wynikało to przede wszystkim z konieczności dbania o życie pozostałych uczestników wyprawy i z przekroczenia czasu, w którym można było jeszcze mieć jakąkolwiek nadzieję na ich uratowanie. Była to niezwykle ciężka decyzja dla kierownika wyprawy, często zaskakująca i nie do końca akceptowalna przez pozostałych uczestników, ale ktoś musiał w końcu ją podjąć. Nieraz po wielu latach zdarzało się, iż podczas podejść odkrywano zwłoki takich zaginionych. Ze względów racjonalnych chowani oni byli tam, gdzie zostali znalezieni. Pewnie dla nich to nie miało większego znaczenia, nie wiadomo jak dla ich rodzin. Alpinści zawsze wierzą, że nic im się nie stanie, ale niestety tak nie jest. Góry przecież są nieprzewidywalne.

Pan Krzysztof mówi by odróżniać podejmowane ryzyko od ryzykanctwa. Bo to nie góra zabija człowieka, tylko popełniony przez niego błąd. Niektórzy zastanawiają się czy Krzysztof Wielicki był ryzykantem, kiedy w 16 godzin samotnie dokonał wejścia na Dhaulagiri. Czy był ryzykantem dokonu-

jąc samotnego wejścia na Broad Peak czy też na Nanga Parbat, jedną z najwyższych ścian Ziemi. Sam zainteresowany odpowiada. To było ryzyko, wielkie ryzyko, jednak do ryzykanctwa było jeszcze daleko. Bo był on przygotowany na podjęcie takiego wysiłku. Był zaaklimatyzowany, odbył już wiele wypraw, znał swoje siły i możliwości. Ale jak to mówią alpinisci: „Jest ryzyko, jest zabawa, będzie gleba albo sława”. Pan Krzysztof tak jak każdy prawdziwy alpinista przebywający na wyprawie stawia sobie za cel wejście na zaplanowany szczyt. Nigdy nie myśli o jego "zaliczeniu". Dzięki temu zdobywa szczyt po szczycie, nie licząc kilku niepowodzeń. I w ten właśnie sposób został piątym w historii zdobywcą Korony Himalajów i Karakorum. Jest to wyczyn tak niezwykły, zwłaszcza w tamtych czasach (patrzac na wyposażenie ekipy, a właściwie na jego brak), że Krzysztof Wielicki, tak jak Jerzy Kukuczka (drugi zdobywca w historii) na zawsze pozostaną w historii światowego himalaizmu a tym samym dzięki takim ludziom jak oni na samym szczycie tego sportu (nie wiem czy to właściwe określenie, raczej nie) jest ich Ojczyzna. Dzięki temu Polska zaliczana jest do ścisłej czołówki w zdobywaniu najwyższych gór świata.



Burmistrz Miasta Szklarska Poręba Pan Grzegorz Sokoliński wręcza upominek Krzysztofowi Wielickiemu

Jednak to wszystko jest okupione przez uczestników wyprawy wieloma wyrzeczeniami. Zwłaszcza w okresie zimowym, kiedy to pogoda nie sprzyja regeneracji sił, kiedy często spędza się wiele dni czy tygodni w namiocie, bo na zewnątrz szaleje śnieżycą, kiedy przypłaca się to niemal obłędem. Wyłania się z tego smutny obraz alpinizmu ale bez tego nie ma sukcesów. Czasami są jednak małe radości. Można na przykład poopalać się czy odwiedzić znajomych w sąsiednim obozie. Są też większe radości, jak wejście Wandy Rutkiewicz na Mont Everest w dniu wyboru na papieża Karola Wojtyły.

Właściwie to dobrze, że ciągle spotykają wspinaczy jakieś nietypowe sytuacje, jakieś niespodzianki, bo jak wiadomo rutyna zabija. W każdym razie alpinisci nie myślą o tym najgorszym. Wyznają jedną zasadę - nie ma porażek, są tylko nowe doświadczenia. Porażka jest tylko jedna – to śmierć. Jednak nikt nie idzie w góry żeby umierać. Każdy jest pewien, że wróci do domu. Co zaś do trudów, jakie tam spotykają, to uważają, iż cierpienie podczas zdobywania szczytu może sprawiać radość. Znane jest wśród alpinistów powiedzenie: „Dobry alpinista to taki, który dożyje emerytury”. Muszę tutaj jeszcze dodać bardzo ważną rzecz. Otóż dawniej wierzono alpinistom bez specjalnego udowodnienia, że stanęli na szczycie. Dzisiaj już tak nie jest.

Wygląda na to, że Krzysztof Wielicki będzie „dobrym” alpinistą. W każdym razie tego mu życzę. Z całego serca. Dla ewentualnych naśladowców powiem, że Pan Krzysztof, który osiągnął tak

wiele w światowym himalaizmie, zaczynał swoją przygodę z górami na naszym Sokoliku. Dzisiaj podczas spotkania tryskał humorem. Słuchające go osoby na pewno odbiorą jego opowieść jak dobrą monetę. Pomyślą sobie jak łatwo można osiągnąć sukces. Jednak nie do końca jest to prawdą. Bo tak naprawdę Pan Krzysztof, aby osiągnąć to wszystko musiał włożyć w to nie tylko wiele pracy ale także dużo serca. Musiał także odebrać wiele lat życia swojej rodzinie martwiącej się o jego bezpieczeństwo i zdrowie a także często drżącej o jego życie. A jak to jest patrząc ze strony rodziny powiem tylko, że pewnie Pan Krzysztof doskonale to wie, gdyż doświadczył tego, kiedy musiał przekazać wiadomość o śmierci kolegi jego żonie. Dlatego na końcu pozwolę sobie powiedzieć, iż warto było spotkać się z tak wielkim człowiekiem, odczuć jego radość ze swoich osiągnięć, jego chęć do kolejnego wyjścia w góry. Życzę Krzysztofowi Wielickiemu by dotrwał do emerytury i by nie musiał już nigdy przynosić przyjaciółom złych nowin.

Na raketach śnieżnych tropiąc Karkonosza

W dniu 25 lutego 2012 roku zorganizowano w Jagniątkowie I Zimową Wyprawę Edukacyjną „Na tropach Karkonosza”. Na przystanku przy Domu Hauptmanna czekali na chętnych pracownicy Karkonoskiego Parku Narodowego, który był organizatorem imprezy. Do organizacji włączyli się także członkowie Watry Jagniątkowskiej. Andrzej Raj, dyrektor parku, przedstawił swoich współpracowników mających zapewnić opiekę na trasach, omówił założenia organizacyjne imprezy i zaprosił do udziału w niej. Widać było, iż jest bardzo uradowany z faktu przybycia dużej grupy dzieci. Zaraz też zostali przydzieleni dla nich opiekunowie, którzy pomogli dobrać rakiety śnieżne i wyruszyli z nimi na specjalnie przygotowaną trasę. Dorośli uczestnicy zostali podzieleni na dwie spore grupy i również zaopatrzeni w rakiety śnieżne. Po dopasowaniu sprzętu wyruszone w góry.



Pierwsze kroki na raketach śnieżnych

Po dojściu do miejsca, w którym zalegała odpowiednio duża warstwa śniegu wszyscy założyli rakiety śnieżne. Prowadzący zarządził wówczas gimnastykę mającą na celu odpowiednie przygotowanie mięśni. Miało to pomóc w uchronieniu przed kontuzjami. Wyjaśniono wtedy jak się chodzi na raketach. Na co powinno zwracać się uwagę, a czym się nie przejmować. W momencie gdy prowadzący zaliczył głębę, co niektórzy mieli zdziwioną minę. Jednak okazało się, że był to upadek kontrolowany, wykonany jako pokazowy. Teraz każdy musiał wykonać to samo. Chodziło bowiem o naukę wstawania tak by nie trzeba było odpinać raket. Początkowo było trochę dziwnie, ale zaraz słychać było żarty i śmiechy. Każda kolejna osoba coraz odważniej padała na śnieg. Po gimnastyce uczestnicy, ustawieni jeden za drugim, ruszyli pod górę. Co kilkaset metrów zmieniano prowadzącego, tak by każdy mógł doświadczyć jak idąca na przedzie osoba ma ciężko. Zaraz dotarto do paśnika gdzie dyskutowano o tym czy w okresie zimowym należy dokarmiać dziką zwierzynę czy też nie. Niestety nie było zgody w tej kwestii. Dalej pokazano jak chroni się nasadzenia mające na celu przywrócenie właściwych gatunków drzew, jakie powinny tutaj rosnąć oraz jak młode drzewka chronione są przed sarnami ogryzającymi ich czubki, a jak przed roślami jeleniami. Poznano także zasady ochrony tych roślin przed ludźmi. Powiedziano, dlaczego w niektórych miejscach nie wpuszcza się turystów i jakie zagrożenia dla przyrody niesie wzmożony ruch turystyczny. Każdy mógł wypróbować swoich sił brnąc w głębokim śniegu. Wcale nie jest to takie łatwe. Pokazano zasady przechodzenia przez przeszkody typu wystające kamienie czy ciekły wodne.



Wykład na temat przyrody w Karkonoszach

Po powrocie do Szkółki Karkonoskiego Parku Narodowego czekała wszystkich miła niespodzianka. Podjechała tam dymiąca kuchnia polowa i zaczęto serwować gorące flaczki. Później zaproszono do ogniska, przy którym można było ogrzać się piekąc smaczne kielbaski. Nic już nie stało na przeszkodzie by wszyscy dzielili się swoimi wrażeniami. Najbardziej zadowolone z wycieczki były dzieci. Wcale nie przeszkadzało im, że utyliły się w błocie. Wszyscy byli radzi z tego, co ich spotkało. Trzeba przyznać, że warto było wyjść z domu i wziąć udział w takim spacerze. Niektórzy już dopytywali się, kiedy będzie kolejny. Zatem do zobaczenia następnym razem.

Otwarcie sezonu turystycznego 2012

W ostatnią niedzielę lutego (26.02.2012 r.) miłośnicy aktywnego wypoczynku wyruszyli na pierwszą wycieczkę 42. Rajdu na Raty. Mimo, iż pogoda od samego początku nie była ciekawa nikt nie zrezygnował ze spaceru. Po dojechaniu do Łomnicy, gdzie dołączył do nas Wiktor Gumprecht, prowadzący dzisiejszą trasę, poszliśmy w stronę kościoła. Jednak wcześniej obejrzelśmy miejsce, w którym znajdowała się świątynia ewangelicka. Niestety do dnia dzisiejszego zachowały się tylko budynki szkoły i pastorówki. Oczywiście obecnie są to obiekty mieszkalne. Po przekroczeniu mostku na rzece Łomnica dotarliśmy do kościoła p.w. Niepokalanego Poczęcia NMP. Tam wykonaliśmy pamiątkowe zdjęcia i oglądaliśmy wyposażenie świątyni. To właśnie tutaj, pod murem cmentarnym pochowano znanego z trafnych przepowiedni Hansa Rischmanna, zwanego "latającym prorokiem". Mieszkał on w jaskiniach na Witoszy w Staniszowie. Najdziwniejszą jego przepowiednią były słowa: "Jutro zadzwonią na moim pogrzebie". Niestety do dnia dzisiejszego, mimo poszukiwań, nie udało się ustalić dokładnego miejsca jego pochówku.

Idąc dalej podziwialiśmy piękno zamknięte w kropłach wiszących na gałęziach przydrożnych drzew oraz mutony, skały które zawdzięczają swój dziwny kształt napierającym na nie lodowcom. Pogoda poprawiła się na tyle, że postanowiliśmy rozpalić ognisko by upiec kielbaski. Znaleźliśmy odpowiednie miejsce osłonięte od wiatru, a zarazem bezpieczne, tak by nie wywołać pożaru. Choć o to przy opadach deszczu ze śniegiem raczej byłoby trudno. Po dłuższej chwili poprzez dym zaczęły przebijać się ciepłe płomyki ognia. Zrobiło się miło i przyjemnie. Było to powodem przedłużenia naszego odpoczynku. Jednak wszystko, co dobre musi kiedyś się skończyć. Zgasiliśmy zatem ogień i ruszyliśmy dalej przez dawne tereny wojskowe w stronę pałacu Paulinum. Po drodze spotkaliśmy in-

nych (podobnych nam) "maniaków", którzy w odróżnieniu od nas bawili się w żołnierzy. Ganiłi się i strzelali z karabinków na kule z kolorową farbą. W pałacu mieliśmy okazję obejrzeć wystawę zatytułowaną „Podróże w czasie”. Prezentowane są tu dawne widoki Śląska na grafikach z kolekcji Haselbacha. Tylko dla niej warto się tu wybrać. My posiedzieliśmy jeszcze przy ciepłej herbatce. Ponieważ był to ostatni punkt naszej wycieczki powoli zaczęli odłączać się ci, którzy mieli czym pojechać do domu. Wszyscy byli zadowoleni z pierwszych w tym roku kilometrów, jakie przemierzili. I nieważna była śnieżna pogoda. Liczy się tylko dobre towarzystwo wywołujące na naszych ustach uśmiech.



Uczestnicy pierwszej wycieczki RnR przed Nepomucenem w Łomnicy

Zimowe wejście na Skopiec

Komisja Krajoznawcza przy Oddziale PTTK "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze zorganizowała w środę, 29.02.2012 roku, zimowe wejście na Skopiec, najwyższy szczyt Gór Kaczawskich, wznoszący się na wysokość 724 metrów nad poziom morza. Okazją do tej wyjątkowej wycieczki był dodatkowy dzień, jaki otrzymaliśmy w związku z tym, że obecny rok jest rokiem przestępnym. Mimo, że od dłuższego czasu pogoda nas nie rozpieszcza, chętni do wzięcia udziału w tej wyjątkowej wyprawie spotkali się na przystanku komunikacji miejskiej przy Tunelu, skąd odjechali autobusem nr 2 do Komarna. Aby nie trącić czasu dojechaliśmy aż do końcowego przystanku. Dalej udaliśmy się pieszo w stronę przełęczy Komarnickiej. Po drodze obejrzelśmy ciekawą kapliczkę wykonaną w pniu drzewa oraz kamień pamiątkowy z datą przypominającą początki Komarna. Od razu muszę powiedzieć, że marsz pod górę nie należał do łatwych. Spływały stamtąd wielkie ilości wody pochodzącej z topniejącego śniegu. Rwące strumienie tak dudniły, że czasami nie słyszeliśmy się nawzajem. Do tego mokry śnieg zmieniał się w lód. Trzeba było bardzo uważać by nie skrócić sobie nogi. Na przełęczy zalegała gęsta mgła. Nie przeszkodziło to jednak w dalszym marszu. Ze względu na coraz trudniejsze warunki część uczestników zrezygnowała ze zdobywania szczytu i pozostała przy wiacie by rozpalić ognisko. Mimo, iż Krzysztof Tęcza, który prowadził wycieczkę, przyniósł w plecaku suche drewno wcale nie było łatwo uzyskać ogień. Jednak wkrótce pojawiły się płomienie. Zrobiło się całkiem przyjemnie. Pozostała grupa wyruszyła dalej przez las i wkrótce dotarła do przełęczki pomiędzy Barańcem i Skopcem, dwoma najwyższymi szczytami Gór Kaczawskich. Wybraliśmy, zgodnie z celem naszej wyprawy ścieżkę na Skopiec i przedzierając się po kolana w śniegu, jaki zalegał jeszcze w tej części podejścia osiągnęliśmy najwyższy szczyt Gór Kaczawskich, zaliczany do Korony Sudetów. Muszę powiedzieć, iż z jednej strony

byliśmy szczęśliwi, że udało nam się to, co zaplanowaliśmy, jednak trochę było nam przykro, że gdzieś zniknął położony tutaj kamień ze stosownym napisem. Dobrze, że ktoś pomyślał o zamocowaniu na drzewie tabliczki z odpowiednią informacją. Aby mieć pamiątkę wykonaliśmy kilka fotek.



Radość po zdobyciu Skopca

Zaraz udaliśmy się w kierunku wiaty, gdzie zagrzaliśmy się przy ognisku. Zaraz wzięliśmy się za pieczenie kiełbasek i chleba. Tak przygotowany posiłek smakował nam wyśmienicie zważywszy na miejsce, w którym go spożywaliliśmy. Nic też dziwnego, że rozmowy i wspomnienia przeciągnęły się do późna. Wkrótce jednak doszliśmy do wniosku, że nadeszła pora na powrót. Wyruszyliśmy, początkowo we mgle, drogą w dół. Jednak mając jeszcze trochę czasu do odjazdu autobusu przeszliśmy aż do kościoła, przy którym znajdują się dwa krzyże pokutne. Możliwe, że poszlibyśmy dalej, ale właśnie nadjechał autobus. Nie było wyjścia. Wsiadliśmy do niego i odjechaliśmy do Jeleniej Góry.

Fenomen chaterek turystycznych na przykładzie Smogorniaka i AKT w Karkonoszach

Pewnie w tej chwili każdy gorączkowo myśli, co też ma na myśli autor tego wystąpienia. Ja także zastanawiałem się nad tym. Bo początkowo wymyśliłem tylko sam tytuł. A, że myśl zawarta w nim spodobała mi się postanowiłem dopisać resztę. W podświadomości bowiem rodził mi się pewien pomysł. Uświadamiałem sobie właśnie jak chodzenie, przepraszam, jak wspólne chodzenie do chaterek turystycznych, wpływa na postawy poszczególnych uczestników tych wypadów. Bo to, że wpływa nie ulega wątpliwości. Chodząc po górach samemu, w pojedynkę odbiera się wszelkie dostępne nam bodźce zewnętrzne. Służą one jednak tylko naszym osobistym odczuciom i reakcjom. Dotyczą zarówno naszego odbioru otaczającego nas piękna czy uniknięcia jakiegoś nieszczęścia. Porównując natomiast te same bodźce odbierane wówczas, gdy jesteśmy w grupie, mimo iż indywidualnie odbieramy je podobnie, to w zestawieniu grupowym reakcja na nie jest już nieco inna. Bierzymy, bowiem pod uwagę zdanie współuczestników naszej wycieczki. I nawet, gdy poszczególne zdania różnią się nie narzucamy wszystkim swojego, nawet wtedy, gdy wydaje nam się, iż jest ono najlepsze, najbardziej przystające do tej konkretnej sytuacji. Bo, po części nieświadomie, bierzemy na siebie odpowiedzialność za pozostałych. Mimo iż o tym nie myślimy wiemy, że nasze zdanie może zaważyć na ich życiu.

Ponieważ mówię tutaj do ludzi obeznanych z górami, z realiami panującymi w górach, nie muszę nikomu tego udowadniać. Przejdźmy zatem do sedna mojego wyводу.



Chatka Smogorniak

Gdy zaczynałem swoją przygodę z górami w krótkim czasie dowiedziałem się o istnieniu chatek turystycznych. Były one jednak owiane jakąś tajemnicą. Niewiele osób mogło powiedzieć, że było w którejś z nich. Dlatego obejmując kierowanie Komisją Turystyki Górskiej w Kole nr 12 przy Fabryce Maszyn Papierniczych w Cieplicach byłem bardzo zaskoczony faktem, iż Koło to opiekuje się Smogorniakiem. Jeszcze bardziej zaskoczył mnie fakt, iż od tej pory to właśnie na mnie spocznie obowiązek zajmowaniem się tą chatką. Przejąłem zatem wszystkie dokumenty związane ze Smogorniakiem i wyruszyłem w góry by sprawdzić w jakim ona znajduje się stanie. Dzięki otrzymanym wskazówkom trafiłem bezbłędnie. Stwierdziłem tam, że nie jest tak źle. Aby jednak domek przetrwał następne lata konieczne trzeba było wykonać większe prace remontowe. Ponieważ działałem wtedy także w Lidze Ochrony Przyrody postanowiłem założyć Straż Ochrony Przyrody. Początkowo chodziliśmy na specjalne kursy a gdy zdobyłem odpowiednie uprawnienia sam szkoliłem następnych strażników. Przy Oddziale PTTK "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze powstała Komisja Ochrony Przyrody, którą kierował Bohdan W. Szarek. Po połączeniu naszych sił dogadaliśmy się z Dyrekcją Karkonoskiego Parku Narodowego, właściciela chatki, że w związku z rezygnacją sprawowania nad nią opieki przez Koło PTTK przy Fampie, KPN przekazuje chatkę na siedzibę utworzonej przeze mnie grupy SOP. Strony zobowiązały się wówczas do współpracy przy planowanych pracach remontowych. KPN dostarczył materiały budowlane, a my przenieśliśmy je na własnych plecach na miejsce i wykonaliśmy kapitalny remont obiektu. Jako uzupełnienie posadziliśmy w okolicy las. Były tu bowiem prawie same korzenie po huraganie jaki miał miejsce kilka lat wcześniej.

Wszyscy będąc wtedy dwudziestolatkami rozpoczynaliśmy samodzielne życie. Niektórzy podejmowali pierwszą w swoim życiu pracę inni dalej się uczyli. Pochodziliśmy z różnych środowisk i każdy z nas inaczej był wychowywany. Rodzice każdego z nas inne wartości nam wpajali. Ponieważ było nas coraz więcej musieliśmy zacząć ustalać jakieś zasady naszego tu gospodarowania. Nie można było pozwolić na to iż każdy miał swoje zdanie. Stworzyliśmy zatem regulamin chatkowy. Każdy od tej pory wiedział co mu wolno a czego nie. Każdy wiedział, kto ma decydujące zdanie. Powoli rodziła się nasza mała społeczność. Społeczność chatkowa. Wszyscy rwaliśmy się do działania, wszyscy chcieliśmy jak najszybciej doprowadzić chatkę do ładu. Pewnie dlatego remont ukończyliśmy jeszcze przed zimą. Poświęciliśmy na to wiele dni pracy i nikt nie miał o to żadnych pretensji. Każdy robił to zarów-

no dla wszystkich jak i dla siebie. Bo przecież wszyscy mieliśmy w przyszłości korzystać z wyników naszej pracy. Rodziła się między nami jakaś więź. Oczywiście nie rodzinna, ale taka specyficzna solidarność ludzi związanych wspólnym celem. Chcieliśmy mieć swoją bazę w górach. Może dla niektórych była to nawet mała namiastka domu. Poświęciliśmy wszystko dla realizacji naszego planu. Zarówno czas, siły jak i własne pieniądze. Wiele rzeczy tu przyniesionych było zakupionych przez poszczególne osoby. I nigdy nikt nie miał o nic pretensji. Wszyscy pracowaliśmy przy tym, na czym się znaleźliśmy. Wypraszaaliśmy u znajomych i sąsiadów potrzebne w chatce rzeczy. I wkurzyliśmy się, kiedy po kilkudniowej nieobecności stwierdziliśmy, iż ktoś był w chatce. Żeby było to dobrze zrozumiane, nie chodziło nam o sam fakt, że ktoś przenocował. Chodziło o to, że ten, kto tu był niejako przy okazji coś zniszczył, naśmiecił, zużył cały przygotowany zapas drzewa, po prostu pozostawił po sobie chlew. Nie mieściło nam się to w głowie. Sami bowiem już czuliśmy się "ludźmi gór" i dbaliśmy o takie, wydawałoby się drobiazgi. Ale przecież przygotowane na rozpałkę drzewo, zapas jedzenia, zapałki, zostawialiśmy właśnie w celu umożliwienia zdrożonemu wędrowcy w razie potrzeby skorzystania z tego. Chodziliśmy wtedy po górach bardzo często i nieraz przeżyliśmy chwile grozy. Wiedzieliśmy, iż w takim momencie liczy się czas. Czas na szybkie ogrzanie się, na wypicie czegoś ciepłego. Dlatego nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego niektórzy postępują tak nieodpowiedzialnie. Przecież nic by im się nie stało gdyby później posprzątaли po sobie, narąbali drewna a swoje śmieci zabrali na dół i wyrzucili do śmietnika. Fakt, że początkowo były to wypadki odosobnione, jednak z czasem zbyt często zaczynały się powtarzać. A my przecież nie mogliśmy być tu zawsze. Kiedy mieliśmy już tego dosyć podjęliśmy z bólem serca decyzję o zamknięciu chatki. Jednak nasze wysiłki nad jej zabezpieczeniem ciągle były daremne. Co chwile zastawaliśmy próby włamań. Doszło do tego, że zaczęliśmy obawiać się o istnienie chatki. Wspólnie z leśniczymi zaczęliśmy uświadamiać turystów, że schodzenie z wytyczonych ścieżek w Parku jest zabronione i staraliśmy się robić częste kontrole w rejonie chatki. O dziwo, przyniosło to oczekiwane skutki. Akty wandalizmu zaczęły ustawać. Widocznie robili to ci sami ludzie. Aby nie było żadnych niejasności, zawsze kiedy ktoś zbłądził i przyszedł do nas otrzymał stosowną pomoc. Zawsze poczęstowaliśmy go gorącą herbatą a gdy była taka potrzeba daliśmy coś do zjedzenia. Jednak, gdy turysta nie był zagrożony grzecznie dawaliśmy mu do zrozumienia, że już pora na niego.

Dzięki takim sytuacjom, jakie opisałem wyżej wytworzyła się między nami mocna więź. Wszyscy dla dobra chatki potrafiliśmy uczynić wiele. Nawet, jeśli wiązałoby się to z jakimiś wyrzeczeniami z naszej strony. Można zatem powiedzieć, że góry, a właściwie, nasze miejsce w górach, wpłynęło na nasze życie, niejednokrotnie wyracając je do góry nogami, ale zawsze było to z korzyścią dla nas. Przynajmniej w tamtym okresie. I właśnie wspólny cel, który sobie obraliśmy, plus atmosfera tam panująca pozwoliły nam przeżyć jedne z najszcześliwszych lat naszego życia. Pozwoliły na wyrobienie w sobie pewnych nawyków, dobrych nawyków. Pozwoliły, a właściwie przyczyniły się do tego, że staliśmy się ludźmi gór. Prawdziwymi ludźmi gór.

Ponieważ w sąsiedztwie, czyli na Hutniczym Grzbiecie przy Bażynowych Skałach, również znajdowała się chatka, często w drodze do czy z Smogorniaka, zachodziliśmy do niej. Tutaj także zorganizowała się grupa ludzi dla których przebywanie w górach było głównym celem w życiu. Jednak w AKT, bo tak nazwano tą chatkę, panowała inna atmosfera. Przebywali tu głównie studenci, a co za tym idzie nieraz odbywały się tu, powiedziałbym, luzackie imprezy. Mimo iż chatka była malutka to potrafiło tu nocować nawet ponad sto osób. W lecie nie było z tym problemu, ale zimą i owszem. Przecież temperatura na dworze dochodziła do -30 stopni. Pozostanie zatem na dworze równoznaczne było z przejściem do lepszego świata. Aby temu jakoś zaradzić utworzono tu coś w rodzaju zarządu chatki. Jak daleko sięgam pamięcią wstecz to praktycznie zawsze był tu człowiek przebywający na stałe, który zajmował się sprawami codziennymi chatki. Nazywano go chatarem. To on decydował ostatecznie o wszystkim. Jego słowo było niepodważalne. Gdyby nie to nie wiem czy chatka ta przetrwałaby do dnia dzisiejszego. Ciekawostką jest, że powoli wytworzyła się tu specyficzna atmosfera. Wszyscy niby robili co chcą ale wszyscy poddawali się jego woli. Nikt nie sprzeciwiał się, gdy otrzymał polecenie przyniesienia wody czy narąbania drzewa. Zresztą później ustalono zasady określające, kto z przybyłych co ma robić. Ba, nawet wprowadzono nakaz używania kapci, co nie do końca było dobrym rozwiązaniem. Wystarczy wyobrazić sobie kilkadziesiąt spoconych osób zdejmujących buty w

małym pomieszczeniu, w którym grzało z rozpalonego pieca. Niektóre wprowadzone tu zasady były bardzo nowoczesne. Np. każdy kto przyszedł wykladał na stół wszystko co przyniósł do jedzenia. Trafiło to do kuchni gdzie było wykorzystywane do nakarmienia wszystkich obecnych w danym momencie. Oczywiście część jedzenia pozostawała w "lodówce" jako żelazny zapas oraz dla chatara. On też musiał coś jeść. Jednak dla wszystkich było to normalne. Niektórzy podrzucali mu nawet jakieś smakołyki. Czasami, gdy zdarzało się, iż zjedzono już wszystko wydobywano z piwniczki właśnie te zapasy i nikt nigdy nie był głodny. Najważniejsze jednak było przy posiłku, aby nikt nie rozpoczął jedzenia przed powiedzeniem przez chatara: smacznego. Jeśli ktoś był tutaj po raz pierwszy i nie zastosował się do tego, w nagrodę dostawał taką pracę do wykonania, że więcej już nie wrywał się przed szereg. Regulamin, jaki tam obowiązuje pewnie szokuje niejednego tu przybyłego turystę, ale bardzo rzadko zdarzają się przypadki jego nieprzestrzegania. I to jest właśnie ciekawe. Bo przychodząc w gościnę do znajomego domu pewnie niejeden na takie jak tu polecenia tylko by się roześmiał.



Chatka AKT

Nie będę tu oczywiście przytaczał żadnych relacji z ciekawych wydarzeń, jakie miały miejsce w obu chatkach. Nie o to mi bowiem chodzi. Chciałem poruszając ten temat ukazać fenomen, jakim jest wytwarzanie się więzi między wspólnie przebywającymi ze sobą zupełnie obcymi osobami. To może wydarzyć się wszędzie, ale tylko tutaj, tylko w górach, tylko w tych specyficznych warunkach, jakie tu panują, więź ta może przetrwać latami i może przenieść się na kolejne pokolenia.

Strzygonie i upiory

Wampir znany jest głównie jako: upiór, wypiór, wąpierz, wampierz, strzygoń. Była to chyba istota, której bano się najbardziej. Wiara ludu w istnienie wampirów jest udokumentowana bardzo konkretnymi przykładami. Gdy rozwinęła się archeologia zaczęto prowadzić badania szkieletów ludzkich wydobytych z grobów. Często natrafiano na dziwne, okrągłe otwory w czaszkach ludzkich. Początkowo nie potrafiono wyjaśnić tajemnicy związanej z tymi faktami. Później jednak, gdy znaleziono pisane przekazy omawiające dziwne istoty zwane wampirami, skojarzono je z owymi otworami w czaszkach. Znajdywano również czaszki ludzkie przebite wielkim gwoździem (nieraz kilkudziesięciocentymetrowym) lub żelaznym klinem. Odkopywano także szkielety, w których zachował się osinowy kołek wbity w pierś zmarłego.

Literatura omawiająca ten temat była dość bogata. Na dowód jak poważnie traktowane były te wierzenia wskazują nazwiska znanych dawniej osób, zajmujących się tą tematyką. I tak na przełomie XVII\XVIII wieku Gabriel Rączyński, przyrodnik, podjął próbę wyjaśnienia problemu wampirów w sposób naturalny, tak jak to było możliwe według stanu ówczesnej wiedzy medycznej. Inne dzieło, autorstwa ks. Benedykta Chmielowskiego, omawiało wiarę w upiory zgodnie z uznanymi przez Kościół poglądami na temat działalności diabłów i czarownic. W czasach obecnych literatura bardzo często wprowadza wątki o upiorach. Ma to jednak więcej wspólnego z fikcją, celem wywołania określonych efektów u czytelników, niż próbą wyjaśnienia problemu.

Jak już wspominałem były różne określenia wampirów i były różnego rodzaju upiory, które znacznie różniły się między sobą.

Strzygoniem była istota obdarzona specjalnymi cechami. Wierzono powszechnie, że ciało strzygonia po śmierci zachowuje świeży wygląd, a nadmierne opuchnięcie nieboszczyka tłumaczono utuczeniem się wyssaną krwią. Znany jest wypadek kiedy w roku 1914 na miejscu stoczony bitwy pochowano poległych żołnierzy, by w kilkanaście dni później zarządzić ekshumację zwłok celem przeniesienia ich na pobliski cmentarz. Chłopi, którzy rozkopywali groby, z przerażeniem stwierdzili, że trup jednego z oficerów wyróżniał się świeżym wyglądem i był mocno spuchnięty. Natychmiast podjęto próbę unieszkodliwienia strzygonia, jednak pilnujący ich żołnierze nie pozwolili na to. Długo po tym wydarzeniu krążyła plotka o odwiedzinach strzygonia w tych okolicach. Inny strzygoń, wychodzący w nocy z trumny, aby napadać na ludzi, został unieszkodliwiony skutecznie. Uczyniono to w ten sposób, że po rozkopaniu grobu i otwarciu trumny umieszczono w niej nóż i wiązkę cierni.

Według dawnych wierzeń ludowych strzygonie po śmierci nie zachowywały się jednakowo. Jedne chodziły tylko w nocy, wydając straszne jęki, nie czyniąc przy tym nikomu żadnej krzywdy. Inne nocą wysysały krew ze zwierząt domowych, a nawet ludzi. Czasami opowiadano o duszeniu przez strzygonie swoich ofiar w biały dzień. Oczywiście były one wówczas niewidzialne dla otoczenia.

Z czasem wypracowano skuteczne sposoby obrony przed strzygoniami. Rozkopywano grób, w którym leżał taki osobnik, a następnie przebijano pierś nieboszczyka kołkiem osinowym lub zębem od brony. Można też było przebić głowę gwoździem żelaznym lub po prostu przewrócić nieboszczyka twarzą ku dołowi, aby gryzł ziemię. W celu uniemożliwienia zmarłemu opuszczenia grobu zakopywano nad trumną ciernie lub stary nóż czy gwoździec (ostrzem ku dołowi). Najbardziej jednak efektywnym i skutecznym sposobem uniemożliwienia nieboszczykowi opuszczenia grobu było obcięcie głowy i ułożenie jej między nogami, tak aby nie mógł sięgnąć po nią rękoma.

Upiory to duchy wszystkich zmarłych przebywających na ziemi.

Wampir to dusiciel, najczęściej występujący w formie nietoperza-ludojada mieszkającego w dalekich krajach.

Upiorami zostawali po śmierci najczęściej samobójcy, ludzie źli, ludzie o dwóch sercach, o dwóch duszach, rodzący się z zębami, nieochrzczeni lub ochrzczeni nieprawidłowo, ludzie zmarli bez spowiedzi, niewierzący, czarownicy, osoby zmarłe tragicznie, o podwójnych zębach, o sinych twarzach, o nierównym oddechu, o zrośniętych brwiach, ludzie których ciała po śmierci zostały przekroczone przez innych, nie bierzmowani.

Upiór przeważnie opuszczał grób pod własną postacią oraz w ubraniu, w którym został pochowany. Rozpoznać go można było po tym, że nie posiadał pleców lub były one całe czarne. Często wychodził z grobu jako cień ludzki lub istota niewidzialna. Czuć wówczas było cmentarny zapach i słyszeć chrzęst poruszających się kości. Czasami upiór pojawiał się jako kościotrup, ptak, wilk, kot, pies, koń, baran, kozioł. Nie wychodził on z grobu, kiedy miał na to ochotę. Istniały określone pory, kiedy mógł to uczynić. Było to na przykład: w rocznicę śmierci danej osoby, w czasie kiedy w okolicy ktoś się powiesił, w piątek, podczas pełni księżyca, w czasie wichury itp.

Niektóre z nich lubiły płatać ludziom złośliwe żarty. Zachowały się opowiadania, mówiące o tym, jak w złości zarzucały one wóz konny na dach stodoły.

Aby uchronić się przed nimi należało wykonać jedną z następujących czynności: odkopać grób i przełożyć ciało twarzą do ziemi, wywiercić dziurę w grobie i wlać do wnętrza wodę świeconą, odkopać grób i obciąć głowę zmarłemu, zamówić msze za zmarłego, poświęcić ciało w czasie pogrzebu, odkopać grób i włożyć kawałek żelaza do ust zmarłego. Inną odmianą upiora był wieszcz - człowiek,

który po śmierci wychodził z grobu i zwiastował nadchodzącą śmierć. Najczęściej czynił to bijąc w dzwon kościelny. Każdy z krewnych, który usłyszał bicie dzwonu, umierał. Kolejny sposób na spowodowanie śmierci człowieka polegał na tym, że wieszcz po wejściu na wieżę kościelną wykrzykiwał kolejno imiona różnych ludzi. Który z nich usłyszał swoje imię, wkrótce umierał.

Aby unieszkodliwić wieszca należało włożyć do trumny sierp, aby kaleczył nieboszczyka przy każdej próbie podniesienia się. Dobrze też były te same metody, co przy upiorach.

Ostatnie, udokumentowane wiadomości o wierzeniach w istnienie upiorów i strzygoni, pochodzą z okresu lat 40-tych XX wieku. Od tej pory powoli upiory przeniosły się do filmów, gdzie prawie zawsze przedstawiane są, jako groźne wampiry, wypijające krew swoim ofiarom.

Opracowanie: Krzysztof Tecza